

Kolbego do Rzymu, zapytałem Go wprost o pierwsze lata po wojnie. Odrzekł, że jest człowiekiem tkwiącym głęboko korzeniami w ojczystej ziemi i nigdy by się dobrowolnie nie zgodził na jej opuszczenie. Tak ją kochał. Powiedziano Mu po wojnie, że musi opuścić kraj. Nie zgodził się. Wówczas dano Mu Piotrówkę niedaleko Strzelec Opolskich, jedną z najmniejszych parafii diecezji. Wybrał Piotrówkę, ale ojczyzny nie opuścił, bo jest ziemią świętą. Wkrótce potem Ks. biskup Kominek, późniejszy kardynał, przyjechał do Niego do Piotrówki i przeprosił Go. Ks. Profesor został przeniesiony na proboszcza do Krapkowic, skąd niezadługo powołano Go do Seminarium Duchownego w Nysie. Ale i tam, podobnie jak w bibliotece kurialnej w Opolu, nie było dla Niego wkrótce miejsca. Nowy kierunek życia wyznaczył Mu dopiero Katolicki Uniwersytet w Lublinie. Od tego czasu aż do końca życia pracował także naukowo, bez specjalnego zresztą rozgłosu. Ale za to miał uczniów w całej Polsce. Chrystus miał uczniów. Uczniowie dobrze znają mistrza. Chrystus był jednak ponad wszystkimi. Nie każdy człowiek może mieć uczniów, Ks. Profesor należał do nielicznych wyjątków.

Nigdy nie widziałem przy pogrzebie tak dużo łez, tak głębokiego bólu, smutku i żalu, jak podczas pogrzebu Ks. Profesora Schenka. Bo Kościół opolski jako matka trzymał na kolanach jednego z najlepszych swoich synów.

Ksiądz Profesor Schenk zrywał się, gdy mówiono o kimś, że nie żyje. „On umarł, ale on żyje!” Księżo Profesorze, żyjesz u swego Mistrza, światłości świata.

Bytom

KS. HUBERT KOWOL

Piotr Obrączka

KSIAZDZ PROFESOR WAĆLAW SCHENK W DNIU SWOIM POWSZEDNIM

Sformułowanie tematu nawiązuje do wspomnień Adama Grzymały-Siedleckiego *Niepospolici ludzie w dniu swoim powszednim*. Można by, zapożyczając się jeszcze bardziej u Siedleckiego, napisać: „Ksiądz profesor Waćław Schenk — niepospolity człowiek w dniu swoim powszednim”, był bowiem niewątpliwie człowiekiem niepospolitym, o niezwyklej, bardzo bogatej osobowości.

Kim był przede wszystkim? Księdzem, duszpasterzem, proboszczem, dziekanem, prałatem, profesorem Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego i trzech innych wyższych uczelni (w tym Papieskiego Wydziału Teologicznego w Krakowie, [— — —] [Ustawa z dn. 31 VII 1981. O kon-

troli publikacji i widowisk art. 2 pkt. 6 (Dz. U. nr 20, poz. 99, zm. 1983 Dz. U. nr 44, poz. 204)] Sam — co niejednokrotnie podkreślał — uważał siebie przede wszystkim za proboszcza, ojca parafii pod wezwaniem Wniebowzięcia NMP w Bytomiu.

Nie byłem nigdy studentem Księdza Profesora, nie było mi też dane być jednym z licznych Jego uczniów czy współpracowników. W okresie ponad dwudziestu lat (1960—1982) miałem jednak szczęście spędzić w towarzystwie Księdza Profesora wiele godzin, czytając i przygotowując do druku Jego teksty.

W arcybogatej osobowości ks. Schenka dominowały dwie podstawowe cechy: niezwykła, ogromna pracowitość i równie ogromna skromność. Pozostanie na zawsze tajemnicą Profesora, jak godził wszystkie, rozliczne obowiązki proboszcza i uczonogo.

Często mawiał, że — jak przystało na mieszkańca górniczego miasta — pracuje „na trzy szychty” (czyli zmiany). Pierwsza zmiana trwała od wczesnych godzin rannych do południa. Po odprawieniu Mszy św. (stale o 8.00) i po śniadaniu pracował do obiadu. Praca przedpołudniowa była — jak się wydaje — najmniej wydajna, przerywana stale różnymi sprawami „administracyjnymi”, wynikającymi z obowiązków rządcy parafii, a także odwiedzinami nie zapowiedzianych z reguły gości. Witał ich serdecznie, poświęcał im chwilę rozmowy, po czym — po kilku, niekiedy po kilkunastu minutach — żegnał słowami: „Było mi bardzo miło, przyjdźcie zaś” (tzn. znowu). Po obiedzie krótki spacer dookoła kościoła i drzemka. Druga zmiana, rozpoczynana z zasady wypiciem kawy (drugiej już, pierwszą wypijał bowiem po śniadaniu), trwała od ok. 15.30 do kolacji i była znacznie spokojniejsza niż przedpołudniowa. Ostatnią zmianę zaczynał po kolacji (ewentualnie — po wieczornym nabożeństwie lub katechezie), kończąc ją nierzadko późno po północy.

Przedstawiony rytm dnia (a właściwie doby) uległ pewnemu osłabieniu dopiero na jesieni 1980 r., po powrocie ze szpitala, w którym znalazł się z uwagi na stan przedzawałowy. Zrezygnował wówczas całkowicie z kawy, ograniczając jednocześnie palenie: z ogromnej ilości wypalanych papierosów przeszedł na — ulubione i wcześniej — cygara.

Jak się wydaje, nie lubił pracować poza swoim gabinetem, nie korzystał przeto niemal wcale z bibliotek naukowych, co było zresztą zbędne, zważywszy, iż zgromadził w swojej bibliotece zbiory, umożliwiające napisanie niejednej pracy naukowej. Często mawiał, iż nie wychodząc z jego biblioteki można napisać pracę magisterską, a nawet doktorską. Z zazdrością przeto spoglądałem na Jego doktorantów, korzystających w bytomskiej plebanii nie tylko z biblioteki, ale przede wszystkim z troskliwej opieki promotora, służącego swym podopiecznym życzliwą radą i pomocą. Był wobec nich ojcowski i opiekuńczy, co nie wykluczało jednak krytycyzmu i stawiania najwyższych wymagań.

Zbiory książkowe Ks. Profesora stanowią osobne zagadnienie. Książki (kilkanaście tysięcy woluminów) zajmowały nie tylko gabinet, ale i dwa sąsiednie pokoje, a także pomieszczenia w suterenie. Wśród zbiorów dominowała specjalistyczna literatura teologiczna (zwłaszcza liturgiczna), ale obok niej znajdowało się m. in. wiele dzieł z historii politycznej, z historii sztuki i z szeroko rozumianej historii kultury. Odrębne działy stanowiły liczne starodruki, bardzo bogate silesiana, albumy i przewodniki krajoznawcze oraz literatura dotycząca ziół i ziołolecznictwa. Zbiory te zostały na początku lat sześćdziesiątych raz jedyny uporządkowane przez dyplomowaną bibliotekarkę, później nikt ich już nie porządkował, książek tymczasem wciąż przybywało. Profesor jednak — o dziwo — doskonale się w ich nieładzie orientował, bezbłędnie znajdując poszukiwane dzieło. W ostatnich latach, z braku miejsca, układał książki rzędami na podłodze — tematycznie, pod kątem planowanej pracy. Stałych zakupów książek dokonywał w Księgarni Naukowej w Bytomiu (gdzie systematycznie odkładano interesujące Go pozycje), a także w antykwariatach — przede wszystkim Krakowa, Wrocławia i Lublina.

Effekt wielogodzinnej pracy Księdza Profesora nie był jednak proporcjonalny do ilości zapisanego rękopisu. W ciągu dnia pisał 1—2 strony, wyjątkowo tylko więcej. Złożyły się na to różne przyczyny, przede wszystkim niezwykle dyscyplina słowna, odpowiedzialność za słowo pisane, a także pedantyczna skrupulatność w budowaniu aparatu naukowego (cytaty, źródła). Ponadto — w przeciwieństwie do mowy — nie miał łatwości pisania, dlatego też uciekał się czasem do dyktafonu. Tak było np. z cyklem artykułów „Liturgia dzisiaj”, opublikowanych — po spisaniu ich z taśmy i po dokonaniu adiustacji językowo-stylistycznej — na łamach „Znaku” (1965—1966).

Trud żmudnego zapisywania myśli był zapewne przyczyną, iż spod pióra Księdza Profesora wychodziły często rzeczy niewielkie, niemal naukowe miniatury, „mile życia drobiazgi”, by posłużyć się sformułowaniem Stanisława Pigonia. Miniatury te były — jak się wydaje — źródłem największej satysfakcji Autora. Tak było m. in. z opublikowanym w czasopiśmie „Muzyka” (1978) przyczynkiem do biografii bytomianina — Grzegorza Gerwazego Gorczyckiego, wybitnego kompozytora polskiego epoki baroku.

W słowie mówionym i pisanym Ks. Profesora uderzała przede wszystkim solidność, rzetelność, uczciwość, szacunek dla słuchacza. Znajdowało to wyraz m. in. w niezwykle starannym przygotowaniu wszystkich Jego wystąpień, nie tylko wykładów i kazań, ale nawet popularnych katechez dla dorosłych czy też nauk przedślubnych. Nie zdarzyło się chyba nigdy, by improwizował; stale posługiwał się ujętym w punkty konspektem, pozwalającym na rzeczowe i logiczne rozwinięcie tematu. Mistrzowskie były zwłaszcza Jego kazania: krótkie (twierdził stale, że dobre kazanie nie powinno trwać dłużej niż 5—10 minut), pozbawione tzw. przykładów z życia, doskonale zbu-

dowane, osnute zazwyczaj wokół jednej myśli — myśli zawsze głębokiej, ale przekazywanej w sposób prosty, trafiający do ogółu słuchaczy. Szkoda wielka, że kazania nie zostały nigdy zapisane czy nagrane, byłby to bowiem wdzięczny materiał do studiów nad ich zawartością myślową i formalną.

W pracowitym życiu ks. Schenka nie było miejsca na czas wolny, na wypoczynek. Nie słyszałem nigdy o Jego wakacjach. Urlop polegał z reguły na wyjeździe zagranicznym, co wiązało się zresztą zawsze z udziałem na konferencjach i zjazdach naukowych (w Hiszpanii, Kanadzie, Francji czy we Włoszech) oraz w pielgrzymkach: do Ziemi Świętej, do Rzymu — z okazji beatyfikacji, a następnie kanonizacji Maksymiliana Kolbego. Po powrocie z podróży zdawał swoim parafianom dokładne sprawozdania, dzieląc się swymi wrażeniami w kazaniach, a przede wszystkim podczas katechezy dla dorosłych, prowadzonej w ramach tzw. Godziny biblijnej. Raz jednak, a było to w lipcu 1962 roku, w okresie pisania drugiej części *Liturgii sakramentów świętych*, postanowił wypocząć. Wybrał klasztor OO. Franciszkanów na Górze Św. Anny, po czym przez sześć dni pobytu nie wyszedł niemal z klasztornej celi, korzystając z niedostępnej w Bytomiu łańciskiej serii *Patrologii* J. P. Migne'a.

Bardzo wiele czytał, a właściwie studiował, bo chodziło wyłącznie o literaturę naukową. Na literaturę piękną czy też wspomnieniową nie było w Jego wieku męskim miejsca, nie mógł przeto przeczytać w *Zapiskach do autobiografii* Władysława Tatarkiewicza owego zdania, które mogłyby odnieść do siebie samego: „...Ludzie bardzo zajęci mają na wszystko czas i nawet mają go więcej od innych, bo czas oszczędzają i dobrze nim gospodarują”. W młodszych latach uprawiał turystykę, czego materialny ślad stanowiła m. in. budząca powszechną wesołość odmiana motocykla (tzw. „setka”). Później był jeszcze czas na sporadyczne wizyty w kinie i w bytomskiej Operze, w końcu tylko na lekturę prasy i słuchanie radia (wyłącznie późnym wieczorem i nocą). Charakterystyczne: Książd Profesor nie posiadał telewizora!

Nie prowadził również życia towarzyskiego (wyjątek: goście z okazji urodzin-imiennin oraz w dniu odpustu parafialnego), bardzo rzadko odwiedzał znajomych, gdy jednak znalazł się w jakimś towarzystwie — z miejsca stawał się jego duszą i ozdobą.

Stosunek ks. Schenka do czasu był specyficzny: nigdy się nie spieszył zawsze bowiem ufał, że zdąży. Stąd wiele spraw załatwiał zazwyczaj w ostatniej chwili. Pamiętam na przykład Jego relację dotyczącą starań o wizę włoską, podjętych dosłownie w przededniu odlotu do Rzymu, na uroczystości beatyfikacyjne Maksymiliana Kolbego. Nie wiem, czy spóźnił się na wykłady, Mszę świętą jednakże rozpoczynał z kilkuminutowym opóźnieniem, twierdząc, że daje w ten sposób szansę punktualności parafianom dojeżdżającym z odległego osiedla.

Jak już stwierdziłem, drugą podstawową cechą osobowości Księdza Profesora była — obok niezwyklej pracowitości — ogromna skromność, będąca zarazem miarą Jego wielkości. Jeszcze raz potwierdza się bowiem obiegowe twierdzenie, iż ludzi największego formatu intelektualnego i moralnego cechuje jednocześnie wielka skromność, by nie rzec: pokora. Skromność Profesora przejawiała się już w zewnętrznym stylu życia — przede wszystkim w ubiorze, do którego nie przywiązywał najmniejszej wagi. W pamięci bytomian pozostanie chyba zawsze obraz Proboszcza w bardzo znośnej sutannie i w jeszcze gorszym, odwiecznym płaszczu, stałym przedmiocie — wyznając to ze skrucą — moich docinków i złośliwości. Na niezwykle okazie miał jeszcze prastary, niemodny garnitur. Profesor był człowiekiem nie mającym zupełnie wymagań i potrzeb osobistych, nie zabiegającym o rzeczy ziemskie, o dobra materialne. Trawestując słowa Leopolda Staffa można by o Nim powiedzieć: nie miał niczego, więc miał wszystko — „właściciel swego cienia”.

Niewielu może ludzi wie, że swoją profesorsko-proboszczowską pensją hojnie zasiliał Katolicki Uniwersytet Lubelski, a szczególnie nowo wznoszone kościoły Diecezji Opolskiej. Najbliżsi współpracownicy ks. Schenka pamiętają także o Jego — uprawianej z wrodzoną Mu dyskrecją — działalności charytatywnej, obejmującej biednych, samotnych i chorych parafian. Jego gotowość ofiarowania pomocy wyrażała się w stałym charakterystycznym pytaniu: „Potrzeba czegoś?”

Skromność Księdza Profesora była również widoczna w absolutnym nieprzywiązywaniu wagi do posiadanych tytułów, godności i wyróżnień. Był prałatem, nigdy jednak nie widziano Go w stroju prałackim. O nominacji na profesora nadzwyczajnego oraz o otrzymaniu nagrody PEN-Clubu (z racji współredagowania *Encyklopedii Katolickiej*) powiadomił swoich parafian dopiero po kilku miesiącach, w sprawozdaniu składanym na zakończenie roku cywilnego.

Innym przejawem skromności, a zarazem głębokiej mądrości Profesora była umiejętność słuchania, wychodził bowiem z założenia, że od każdego człowieka, nawet najprostszego, można się czegoś nauczyć. Dlatego też stale rozmawiał i uważnie słuchał: podczas licznych podróży nie czytał, lecz prowadził dialog ze współpasażerami; rozmawiał z osobami spotykanymi w pobliżu kościoła, twierdził bowiem, że każdemu, kto znalazł się w jego granicach, należy się uwaga i dobre słowo proboszcza. Miał przy tym szczególnie dar nawiązywania kontaktów z ludźmi; potrafił znaleźć wspólny język nie tylko z uczniami czy z braćmi w kapłaństwie, ale nawet z przekupkami z przykościelnego placu czy też z pracownikami Miejskiego Przedsiębiorstwa Oczyszczania. Cechy te, będące znamieniem postawy otwartej, postawy dialogu, zadecydowały w głównej mierze o tym, że cieszył się On wśród mieszkańców miasta — nie tylko parafian i nie tylko ludzi wierzących — powszechnym uznaniem

i autentycznym autorytetem moralnym. Dowodzi tego również rozległa korespondencja, jaką otrzymywał nie tylko z różnych stron Polski, ale niemal z całego świata — od Anglii do dalekiej Australii. Wśród nadawców znajdujemy m. in. nazwiska kardynała Karola Wojtyły, kardynała Bolesława Kominka, księdza — od niedawna kardynała — Joachima Meissnera i wiele innych znanych nazwisk, zwłaszcza biskupów i pracowników nauki. Pisali licznie do Niego również ludzie prości, najczęściej byli parafianie, wśród nich duża grupa mieszkająca obecnie w RFN-ie. Spotykamy również blok korespondencji żyjącego na Zachodzie Żyda, któremu ks. Schenk udzielił pomocy w czasie wojny.

W rozmowie był Ksiądz Profesor rzeczowy, konkretny, czasem sceptyczny, zawsze natomiast krytyczny. Ostatnią cechą najlepiej zilustrować na przykładzie stosunku ks. Schenka do języka. Niemało trzeba było wysiłku, by przekonać Go, że dana forma językowa jest poprawna lub niepoprawna, kiedy się to jednak udało, konsekwentnie akceptował i starał się przestrzegać odtąd danej normy poprawnościowej. Tak było np. z odmianą nazwiska św. Maksymiliana Kolbego (błędnie: Kolbe), z niewłaściwym użyciem czasownika jednokrotnego w funkcji wielokrotnego czy też z pewnymi usterkami fonetycznymi, m. in. z prejotacją interwokaliczną (Profesor wymawiał bowiem: „Tadejusz”, „licejum”).

Uderzała wszechstronność Jego zainteresowań i niezwykła, ciekawość świata. Wypytywał skrupulatnie o najdrobniejsze szczegóły, stale dociekając głębszych przyczyn. Miał przy tym doskonałą znajomość miejscowości i krajów nigdy nie widzianych (np. Kijowa czy Sewilli).

Był profesorem uniwersyteckim, nie miał jednak w sobie niczego, co można by z niemiecka określić jako „zerstreuter Professor”. Wręcz przeciwnie — posiadał ogromną mądrość życiową, objawiającą się m. in. w praktyczności. Pisząc swe teksty znakomicie operował klejem i nożyczkami (by nie tracić czasu na przepisywanie), szanował przy tym papier, wykorzystując odwrotne strony maszynopisu czy odbitek korektowych. Praktycyzm życiowy znalazł najbardziej chyba wyraz w zainteresowaniach ks. Schenka ziołami i ziołolecznictwem. Studiował fachową literaturę z tego zakresu, znał doskonale zioła i ich lecznicze zastosowanie. Początkowo zbierał je sam, później kupował je od zbieraczy, suszył, po czym rozdawał darmo wszystkim potrzebującym. Spośród licznych ziół (nieznanych Herbarpolowi, ale znanych dobrze mieszkańcom wsi) szczególnie cenił stosowaną w schorzeniach nerek przytulię żółtą (*Galium verum*) oraz sprowadzane z Zachodu Schwedenkräuter, których używa się po uprzednim zalaniu ich spirytusem.

Ksiądz profesor Schenk był człowiekiem pogodnym, obdarzonym dużym poczuciem humoru. Znał wiele anegdot i chętnie je opowiadał (zazwyczaj gwarą śląską). Jego humor był często zaprawiony

ironią i łagodną złośliwością, nie przeradającą się jednak nigdy w szyderstwo. Po niedzielnej Mszy św. zwykł był mawiać do wychodzących z kościoła: „Prosimy na śniadanie!” Do młodego wikarego potrafił się zwrócić formułą: „Księżę prałacie”, zaś najstarszego wikarego, pełniącego pod nieobecność proboszcza jego funkcje, nazywał „interrexem”. Poinformowany o ostatniej podwyżce płac w szkolnictwie wyższym, stwierdził: „To teraz będziemy żyć jak lordowie”.

Na zakończenie jeszcze jedna uwaga: Ks. Profesor był człowiekiem nie lubiącym zmian. Zapytany kiedyś o przyczynę łomotu nad Jego gabinetem, odparł: „A, to chłopcy (= chłopcy, czyli wikarzy). Robią remont, chcą mieszkać jak w pałacu”. Nie lubił zmian, dlatego na przykład nie zdobył się nigdy na ustawienie ołtarza, umożliwiającego celebransowi odprawianie Mszy św. twarzą do wiernych. Niektórzy nazywali to konserwatyzmem. Jeśli już zostać przy tym określeniu, mającym w naszym języku fatalne, jednoznacznie pejoratywne obciążenie, to trzeba stwierdzić, że był to konserwatyzm świadomy, pojęty jako wierność tradycji, jako jej obrona. Ks. Schenk — stróż tradycji uważał bowiem, że odnowa liturgii jest czymś znacznie głębszym aniżeli zmiany zewnętrzne, sprzeczne często z architekturą i wystrojem wnętrza kościoła.

Odszedł nagle, pełen bliższych i dalszych planów naukowych i duszpasterskich. Wielu zamierzeń nie zdążył już zrealizować, z dzisiejszej perspektywy nie wydaje się jednak, by Jego życie było niepełnym, urwanym. Wielokrotnie słyszałem z ust Księdza Profesora piękne słowa św. Pawła, które może teraz wypowiedzieć o sobie samym: „W dobrych zawodach wystąpiłem, bieg ukończyłem, wiarę ustrzegłem. Na ostatek odłożono dla mnie wieniec sprawiedliwości, który mi w owym dniu odda Pan, sprawiedliwy Sędzia...” (2 Tm 4, 7—8).

Bytom

PIOTR OBRĄCZKA

Ks. Stefan Koperek CR

WKŁAD KS. PROF. WAĆŁAWA SCHENKA W PAPIESKI WYDZIAŁ TEOLOGICZNY W KRAKOWIE

1. ZNAMIENNY MEMORIAŁ

Mając mówić o pracy dydaktycznej Ks. Prof. Waćława Schenka na Papieskim Wydziale Teologicznym w Krakowie, trudno nie wspomnieć o pewnym fakcie, który miał miejsce w pięć lat po zakończeniu wojny, a trzynastcie przed Soborem Watykańskim II. Fakt